

# Prezes wszystkich prezesów

30 grudnia 2015

Jarosław Kaczyński od lat uprzedzał, że jeżeli weźmie władzę, to zrobi tu Budapeszt nad Wisłą, więc wszelkie zdziwienie jego krajowych krytyków wynika albo z niewiedzy albo z głupoty. Dużo ciekawsze od gęgania odstawionych od żłobu „obrońców demokracji” są coraz częstsze i głośniejsze słowa krytyki dochodzące z zagranicy.

Mimo, iż nie byłem, nie jestem i prawdopodobnie nie będę wyborcą i zwolennikiem PiS-u, odprawiane od miesiąca pod szczytnymi hasłami obrony demokracji, praworządności i pluralizmu harce niedawnych ministrów, dyrektorów i wszelkich innych „byłych” budzą moje największe obrzydzenie i politowanie.

To bowiem oni sami „tymi rencami” przez wiele lat ową demokrację, dobre obyczaje, pluralizm i uczciwe państwo konsekwentnie likwidowali. To ci, którzy dziś wychodzą na marsze (ciekawe, że z moich znajomych, bronić demokracji wraz z „nowoczesnym Rysiem” poszły niemal wyłącznie dzieci sędziów i innych luminarzy prawniczego establishmentu...) przeciw kaczyszacji polskiej polityki, w Sejmie, ministerstwach, bankach i spółkach z pełną premedytacją, rok po roku, kawałek po kawałku doprowadzali polskie państwo do stanu, w którym większość obywateli zdecydowała się na krok tyleż rozpaczliwy co ryzykowny i oddała władzę człowiekowi, co do którego nie żywi najmniejszej sympatii.

Właśnie po to, i tylko po to, aby dać sobie i całemu krajowi szansę na jakąkolwiek zmianę. I, czy nam się to podoba czy nie (mnie osobiście nie, ale z punktu widzenia logiki historii czyli obiektywnej dynamiki procesów politycznych nie ma to żadnego znaczenia), przez kolejne cztery lata Prezes w Polsce będzie tylko jeden, z czym coraz boleśniej i bardziej nieuchronnie muszą pogodzić się wszyscy inni prezesi, łącznie

z do niedawna przekonany o swojej nietykalności profesorem Rzeplińskim.

I dlatego właśnie było oczywiste, iż wzorem swojego politycznego guru z Budapesztu, kaczystowska Sanacja zacznie „porządki” od neutralizacji dwóch najbardziej niebezpiecznych dla stabilności władzy instytucji – Trybunału Konstytucyjnego i publicznej telewizji. Kwestia druga jest oczywista i szkoda czasu na dywagacje w kwestii tego, ile rzeczywistej władzy znajduje się w rękach „czwartej władzy” i jak bardzo od kontroli nad nią zależą możliwości działania władzy pierwszej.

Kwestia unieszkodliwienia TK to jednak ciekawy i niejednoznaczny przypadek. Pomimo bowiem, iż zarówno forma, jak i treść urządzanej w nim czystki budzi zastrzeżenia, trudno nie zgodzić się z tezą, iż jest w demokratycznym państwie aberracją sytuacja, w której niezależnie od wyników wyborów, o tym, co jest a co nie jest obowiązującym prawem decyduje przy kaweczce i koniaczku piętnastu nie wybranych przez nikogo i przed nikim nie odpowiadających przedstawicieli jednego konkretnego zawodowego lobby.

Praktyka działania TK w jego poprzedniej (od wczoraj już historycznej) formie, jasno wskazuje bowiem, iż był on ciałem nie strzegącym praworządności i interesów obywateli (czy przynajmniej ich większości), ale kryszującym czysto partykularne geszefty kliki, która trzymała pieczę nad tym, aby większość w składzie orzekającym zawsze miała serce po właściwej stronie. I trudno oczekiwać, aby ci, którym Trybunał przez lata zapewniał komfortowe warunki prowadzenia interesów, przyjęli jego przeformatowanie ze spokojem i wiarą, że nadal będzie byczo. Bo to właśnie w obronie swego politycznego i finansowego ciepełka a nie demokracji wychodzą na zimną grudniową warszawską ulicę najlepsi przedstawiciele grupy, którą z braku laku przywykliśmy przez ostatnie ćwierćwiecze nazywać polską elitą.

I pomimo pełnej świadomości, iż póki sympatie większości

społeczeństwa są po stronie rewolucjonistów, luminarze ancien régime'u, nie mają szans na jakąkolwiek reakcję, podnoszą oni larum poza granicami kraju, w nadziei, iż, jeżeli nie własny naród, to może przynajmniej oświecona zagranica poda im pomocną dłoń i pomoże walczyć (lub przynajmniej przetrzymać) kaczystowskich jakobinów i wspólnymi siłami doprowadzić do powtórki tuskowego thermidora z 2007 roku.

Nadzieja to niepłonna, co już widać w europejskiej i amerykańskiej prasie, która coraz częściej i coraz donośniej opisuje sytuację w Polsce w ciemnych tonach przestrzegając przed demontażem demokracji, upadkiem praworządności, degradacją norm i katastroficznymi perspektywami. I, w przeciwieństwie do miejscowych kreoli, od których można byłoby oczekiwać choć odrobiny przywiązania do własnego kraju i dbałości o jego interesy, zachodnich polityków i wielki biznes (w tym także medialny) można zrozumieć. Nie po to bowiem przez ćwierć wieku inwestowali tu pieniądze i autorytet polityczny, aby teraz Polska wyrwała się z półkolonialnego położenia do którego doprowadziło nas konsekwentne trzymanie się wytycznych MFW, NATO, UE i innych kontrolowanych przez międzynarodową plutokrację „elitarnych” klubów.

Oni walczą o gigantyczne pieniądze i władzę, tym bardziej, iż, jeżeli po Węgrzech, z budowanego w pocie czoła w Europie Wschodniej pasożytniczego łańcucha pokarmowego wypadnie Polska, to jest jasne, iż w ciągu lat posypie im się cały region. A wtedy, żyłujący nas latami „dobrodzieje” z Waszyngtonu, Brukseli i Frankfurtu stracą nie tylko paskarskie odsetki dla swoich banków czy dochody supermarketów, ale także i niemal pełną kontrolę nad polityką miejscowych rządów. Bo, kto zagwarantuje dziś USA czy Niemcom, iż po przenicowaniu państwa wewnątrz, Kaczyński (lub jego następcy) nie zaczną na przykład prowadzić niezależnej polityki wobec Rosji...

I właśnie to, a nie TK czy telewizja jest prawdziwą stawką prowadzonej obecnie gry. To, żeby Polska wreszcie stała się krajem prawdziwie suwerennym – wewnątrz i na zewnątrz. I

właśnie za to, a nie za Kaczyńskiego i jego ministrów  
powinniśmy trzymać kciuki w Nowym Roku.

Autorstwo: Jakub Korejba

Źródło: [pl.SputnikNews.com](http://pl.SputnikNews.com)